

# Z POMOCĄ WALCZĄCEJ WARSZAWIE

**W 1938 r., podczas wakacji, zacząłem latać na szybowcach. Miałem niecałe 19 lat. Rok później, także na wakacjach, sześć czy siedem dni przed wybuchem wojny skończyłem kurs pilotażu motorowego w Stanisławowie na południu Polski – teraz to już jest Ukraina. Wtedy nie mogłem nawet przewidzieć, jak bardzo przyda się to w czasie wojny.**



Gdy wybuchła wojna, byłem w Czechowicach-Dziedzicach koło Bielska. Siostra spодiewała się dziecka i wyjechała do Radomia, bo wszyscy domyślaliśmy się, że będzie wojna, tylko nie wiedzieliśmy kiedy. Jej mąż musiał zostać, bo czekał na mobilizację.

## Zawieźć konfitury

Siostra przed wyjazdem zrobiła bardzo dużo konfitur i prosiła, żebym je przywiózł do Radomia. Odkładałem to, ciągle mówiłem sobie: jutro, jutro. Wreszcie to jutro było 1 września. Spałem na piętrze, a mąż siostry na parterze. On pierwszy usłyszał, że niemiecki samolot zrzucił dwie bomby w pobliżu rafinerii (bo w Czechowicach-Dziedzicach była anglo-amerykańska rafineria), nie trafił i wrócił. Wstałem, przygotowałem się do podróży, o godzinie 11 wsiadłem do pociągu z zamiarem wyjazdu do Radomia. W nocy postawili pociąg na bocznicę, gdzieś koło Oświęcimia. Już wracali z frontu pierwsi ranni żołnierze. Dojechaliśmy do Krakowa, z Krakowa na północ tylko parę kilometrów, bo most był zburzony. Z powrotem do Krakowa.

W niedzielę, 3 września, dotarłem do Tarnowa. Pięknie świeciło słońce. Przed południem nagle ogłaszają przez megafon, że Anglia wypowiedziała wojnę. Jaki tam był wielki krzyk! Wszyscy się cieszyli. Tymczasem pociąg ruszył na wschód. Jakies 50 kilometrów za Tarnowem stanął w lesie. Nadleciało chyba z 12 dornierów, niemieckich bombowców. Zrzucali bomby, było mnóstwo rannych. My – pasażerowie – puciekaliśmy z pociągu. Pamiętam, jak jeden żołnierz – widać, że dopiero zmobilizowany – nogę miał urwaną nad kolaniem. I tak stał krwawiąc pod drzewem...

Z okolic Tarnowa pojechałem do Lublina. W niedzielę, 10 września, byłem w Lublinie. Dzień wcześniej, w sobotę, 9 września, był tam straszny nalot. Na peronie ciała zabitych były poukładane aż pod dach. Śmierdziało, ciała się rozkładały, bo było bardzo gorąco. I tam, pamiętam, jechał wojskowy transport. Był tam już wojskowy i cywilny dowódca stacji. Jeden sierżant i kapral przyprowadzili podporucznika z piechoty, w mundurze. Trzymali go za ręce. Okazało się, że to był Niemiec. Jechał z nimi już drugi dzień. Nadawał sygnały do samolotów. Jechali towarowymi pociągami, w których były budki dla kolejarzy. I w takiej budce go zauważyli. Stałem bardzo blisko, kiedy przyprowadzili go do kapitana. Rozmowa była krótka. Kapitan pyta: „Czy jesteś podporucznikiem?”. On odpowiada perfektnie po polsku: „Nie”. „Skąd jesteś?” Odpowiada: „Z Łodzi”. „Ty nie jesteś z Łodzi. Rozstrzelac”. Zabrali go, poszli jakies 100 metrów dalej i rozstrzelali. Widziałem ten śmiertelny pot, jaki pojawił się na jego twarzy po wyroku.

## Sowieci

Mój pociąg znów ruszył na wschód. W sobotę, 16 września, przyjechałem do Równego. Równe było już przy granicy rosyjskiej. Postawili pociąg na bocznicę. Następnego dnia, w niedzielę, poszedłem do kościoła, a tam zgromadziło się chyba ze sto tysięcy ludzi – i cywilów, i wojskowych. A całe Równe liczyło może 20–30 tysięcy. Kiedy wracaliśmy z kościoła, już nadciągały sowieckie wojska. Już po kilku chwilach widzimy, że zaczęli aresztować naszych oficerów. Aresztowani rzucali się w oczy, bo normalnie oficerowie nosili pasy, a jak je zdjęli, to płaszcze wisały na nich jak worki. Na początku Sowieci trzymali tylko oficerów, innych wojskowych jeszcze puszczała. Ale już zorientowaliśmy się, co to za przyjaciele przyszli. Po kilku dniach, żeby wyjechać, trzeba było dostać oficjalną przepustkę. No i wróciłem na zachód.

## Kurier

Mój brat był zawodowym oficerem w piechocie. Jego kolega przyszedł kiedyś do mnie i pyta, czy wstąpię do armii podziemnej. „Ale to musi być w sekrecie” – mówi. Odpowiedziałem: „Oczywiście”. Wstąpiłem i byłem kurierem między stroną sowiecką a niemiecką. Niemieckiej strony w ogóle jeszcze nie kontrolowali, ale rosyjską strasznie. Nie mogłem nawet rodzicom ani siostrze powiedzieć, że jestem w podziemiu. Siostra domyślała się, ale nigdy jej nic nie powiedziałem. Przysięgałem, że nikomu nie wydam, co robię, do czego należę, itd.

We Lwowie, gdzie była nasza centrala, dowiedzieli się, że mam ukończony kurs pilotażu. Powiedzieli mi, że kończę pracę kuriera i pojedę do Francji. Ale podczas ostatniej podróży kurierskiej zostałem aresztowany przez Sowietów. Chyba jednak udało mi się ich przekonać, że moje podróże związane są tylko z odwiedzaniem rodziny, bo mnie wypuścili. Miałem zresztą wszystkie dokumenty podrabiane, takie jak wydane przez NKWD. Moskale nie byli w stanie ich zakwestionować.

## Wielki Piątek

Największe szczęście w moim życiu to był Wielki Piątek w 1940 r. Mieszkałem wtedy znowu u siostry w Czechowicach-Dziedzicach. Powiedziałem jej, że jadę do kolegi do Wistły, a tak naprawdę miałem doręczyć ważną przesyłkę. Przyjeżdżam tam po południu. Wchodzę do umówionej knajpki, a tam piją i śpiewają niemieccy żołnierze. Język niemiecki znałem zupełnie dobrze, ale na wszelki wypadek wszedłem od tyłu. Pytam, czy jest pan taki a taki. „Jego już nie ma” – słyszę w odpowiedzi. Pojąłem w mig. Pewnie wpadł. Natychmiast ruszyłem z powrotem na stację. Już jestem blisko stacji, a tu podjeżdża na rowerze pomocnik z kuchni z tej restauracji, w której byłem, i mówi: „Proszę pana, tam jest taki jeden, który zna adres tego pana, o którego pan pytał”. Pierwsza myśl – czy to nie jest jakiś podstęp? Ale wracam. Przychodzi jakiś człowiek: „Tak, mam adres”. Idzie do pokoju i za chwilę pojawia się Szwab, gestapowiec prawie dwumetrowy. Serce mi prawie stanęło. On pyta: „Sprechen Sie deutsch?”. Wołałem się nie przyznawać, że znam dobrze ten język, powiedziałem, że tylko trochę rozumiem. – „Po coś tu przyjechał?” Zacząłem coś zmyślać, miałem przy sobie książkę, więc mówię, że ją pożyczyłem jeszcze przed wojną od tego człowieka, którego szukam. – „On już jest w więzieniu. Wyciągaj wszystko z kieszeni”. Wyciągnąłem pieniądze, dowód osobisty. Miałem też tytoń i bibułki. W nich były adresy, jakieś 10 czy 11, z całej Polski. On to wszystko zawinął w moją chusteczkę i zabrał. Wychodzimy razem z mieszkania. Wiedziałem, że popełniłem błąd, wracając. Zastanawiałem

się, czy próbować uciec. Szliśmy, robiło się już ciemno. Idziemy jakieś 100 metrów i widzę małą domkę z napisem: *Polizei*. Gestapowiec nie rozmawia ze mną, kajdanków mi nie założył. Byłem wysportowany, myślałem więc, że sobie poradzę, chciałem go uderzyć i wiać. Ale nie znałem terenu, a oni mogli mnie ścigać z psami. Nie mogłem się zdecydować. Wchodzimy, on otwiera drzwi. Widzę to tak, jakby to było wczoraj – schodzimy po schodach do piwnicy. Tam są dwie cele. On ma pęk kluczy, wkłada jeden klucz, drugi, klnie po niemiecku. A ja prawie głośno po polsku modłę się: Panie Boże, zrób tak, żeby mu te klucze nie pasowały. Nie mógł otworzyć żadnej celi. Idziemy na górę, otwiera pokój, zapala światło. Siada przy dużym owalnym stole naprzeciw mnie i mówi: „Powiedz, po coś przyszedł”. Tłumaczę mu znowu: „Słuchaj, mówię ci, chciałem oddać książkę. Powiedziałem siostrze, że szybko wrócę. Będzie się bała, co się ze mną stało”. A on po chwili tę chusteczkę, w której były te wszystkie adresy, moje dokumenty i pieniądze, przesuwając do mnie i mówi: „Ja ciebie tu więcej nie chcę widzieć”. Jak wyszedłem stamtąd, dałem susa i biegłem na stację kolejową tak, że nie było człowieka na świecie, który by mnie złapał. Za chwilę miałem pociąg do Bielska. Nikt nie wysiadł z pociągu, ja tylko wsiadłem. Popatrzyłem w lustro – byłem biały jak śnieg. Nawet siostra później dopytywała się, czy nie jestem chory. Myślałem, dlaczego on mnie puścił – pewnie dlatego, że w knajpie koledzy pili, śpiewali, a on by musiał ze mną siedzieć całą noc. To był mój Wielki Piątek 1940 roku. Nigdy go nie zapomnę.

### Aresztowanie

Przyjechałem później do jakiejś wioski w okolicy Rawy Ruskiej. Dostałem adres, gdzie mogę się na trochę zatrzymać. Wchodzę. Wtedy mieliśmy już różne znaki, po których się rozpoznawaliśmy, bo można było się nadziać na gestapo. Miałem pod kołnierzykiem dwie szpilki, tak jak było umówione. Wchodzę do chaty, a tam jakieś piętnaście osób. Pani domu pyta, czy nie wzięłbym pewnego człowieka w nocy, jak będę przekraczał granicę z jej synem, który wiedział mniej więcej, gdzie i jak chodzą Moskale. Był tam profesor z Krakowa, z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak mi opowiadał, Niemcy przyszli go aresztować w domu, bo też był w armii podziemnej. Uciekł przez okno do sadu i dalej. Potem dotarł aż do Rawy. Chciał się przedostać na stronę rosyjską, bo tam miał krewnych. Była tam też studentka, nie miała jeszcze dwudziestu lat. Niemcy wiedzieli, że była kurierką, i dlatego szła na stronę rosyjską, bo tam miała krewnych.

Przekonywałem ich, że zawsze przekraczam granicę sam. Ale oni bardzo nalegali. Ponieważ w 1940 roku była bardzo ostra zima, tłumaczyłem, że będzie trudno czasem trzeba leżeć w błocie, w śniegu. „My będziemy wszystko robić tak, jak pan każe”. Pierwszy raz zgodziłem się na taką wyprawę w kilka osób. Przeszliśmy granicę. Byłem zmęczony. Po kilku kilometrach drogi w błocie, przez las zobaczyliśmy małą wioskę, kilka domów. Nie miałem siły dalej iść, zaszedłem do jakiejś chaty i pytam, czy mogę się przespać. „Nie, idźcie dalej, już



Fot. ze zbiorów J. M. Rumana

14 sierpnia 1946 r. Tadeusz Ruman odznaczony najwyższym angielskim odznaczeniem lotniczym Distinguished Flying Medal

połowę wioski wywieźli za to, że przechowywali". Poszliśmy do jakiejś stodoły, rozwinęliśmy snopek i można było chwilę się zdrzemnąć. Rankiem wstaliśmy i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy laskiem, słońce pięknie świeciło. Brnęliśmy w błocie, a widać było, że droga jest zupełnie sucha. Prosimy, żebyśmy poszli kawałek drogą. Tłumaczyłem im, że nie znają Rosjan... Ale oni mówią: „Przecież nie idziemy w kierunku granicy, tylko w kierunku miasta”. Zamiast im to wybić z głowy, zgodziłem się. Uszliśmy z pół kilometra. Stał jakiś nieciekawy typ przy bramie, a dom był cofnięty od drogi około 50 metrów. Mówię: „Udawajmy, że zwyczajnie rozmawiamy, ale pozdrówcie go: *Zdrawstwujiťe, towariszcz*”. A on odpowiada: *Zdrawstwujiťie* i naciska dzwonek. Przyszło dwóch innych i to był koniec. W domu było już kilkanaście osób, które zostały aresztowane w nocy. Wiedziałem, że zaraz będziemy rewidowani. Wcisnąłem szybko adresy, które miałem przy sobie, pomiędzy podwójne okna. Przetrzepali nas solidnie. Po południu zapakowali na ciężarówkę i pod eskortą Rosjan z rewolwerami i z karabinami wywieźli do Rawy Ruskiej, do więzienia. Stamtąd do Lwowa, do Brygidek. To było olbrzymie więzienie. Tamtych, z którymi szedłem, już więcej nie widziałem.

### **Lwów – Brygidki**

Przywieźli nas do Lwowa około stu osób. W Brygidkach siedziałem trzy miesiące. Ale cały czas pod innym nazwiskiem. W dokumentach byłem o dwa lata młodszy, bo bardzo młodo wyglądałem. Nazywałem się Żak Kazimierz Piotrowicz. Prawie już zapomniałem swoje prawdziwe nazwisko, tyle razy musiałem powtarzać, że mam na imię Kazimierz, ojciec był Piotr, więc Piotrowicz, a na nazwisko Żak. Sowieci ciągle nas przestuchiwali, żeby dociec, kto jest naszym dowódcą, koordynatorem. Ale ja udawałem, że w ogóle nie rozumiem o co chodzi i nie znam ich języka. To dali tłumacza, Ukrainca, który znał polski. On zaczął coś mówić o podziemiu. Ja nie czekając, co będzie dalej, odpowiadam: „Tak, to było moje marzenie, zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda kopalnia, ale nigdy nie miałem okazji”. On krzyczy: „Nie o kopalnię chodzi!” i tłumaczy mi, co to jest podziemna armia. Ale słyszę, jak do Rosjanina mówi, że jestem „durak”. A o to mi przecież chodziło.

### **Chersoń, Starobielsk, Charków**

Sowieci nie byli jednak tacy naiwni, jak mogło się wydawać. Wywieźli nas do Rosji, do Chersonia, nad Morzem Czarnym. Pamiętam, że raz spadł tam śnieg. Było to niezwykle, bo tam bardzo rzadko zdarza się śnieg. Na pojedynce [w jednoosobowej celi] było nas osiemnastu. Było ciasno, spaliśmy na podłodze z podkulonymi nogami, jak jeden się przewracał na drugi bok, to wszyscy się musieli się przekręcić (kiedy znalazłem się w Anglii, jeszcze długo miałem na skórze czarne odgniezione ślady od tego leżenia na betonowej podłodze). Z tego Chersonia przewieźli nas do Starobielska – wkrótce po tym, jak zabrali tych, którzy zostali straceni w Katyniu. Tam był taki klasztor czy cerkiew. Z ambony wyczytali mi wyrok – 15 lat ciężkich robót. Zawsze wozili nas pociągiem towarowym, a tu po kilku dniach powieźli nas pasażerskim, z zakratowanymi oknami. Strażnikom nie wolno było z nami rozmawiać, ale jeden otworzył drzwi i pyta, czy ktoś był w 1939 r. – a to był już 1941 r., koniec maja – w wojsku, jak Niemcy napadli na nas. Dwóch czy trzech przyznało się, że byli. – „A co wy myślicie o niemieckich żołnierzach?” – pyta. Mówią, że niemiecki żołnierz jest zwykle zdyscyplinowany, armia dobrze wyposażona. A on mówi: „Ale sowiecki jest lepszy”. Wyczuliśmy, że coś się dzieje, skoro on tak porównuje te armie. Dojechaliśmy do Charkowa. Tam było takie rozdzielcze więzienie. Siedzieli tam z 20 tysięcy ludzi. W mojej celi było 241 osób. Dzień spędzaliśmy na stojąco, czasem można było usiąść. W nocy, jak się leżało na podłodze, to tak samo jak wcześniej – jak śledzie w beczce.

Nagle przychodzi naczelnik więzienia i mówi, że 22 czerwca wybuchła wojna i teraz, jeśli tylko będą jakieś rozruchy, to „trojka”. Wytłumaczył, że „trojka” to znaczy: trzy osoby w ciągu kilku minut idą na rozstrzelanie. Oczywiście, nie było żadnych rozrób ani krzyków. Byliśmy tam około trzech tygodni. Któregoś dnia nagle biorą z cel wszystkich Polaków na górę, na strych. Można było spacerować, tak jak w hotelu. Chyba osiem dni trzymali nas na tym strychu. Potem znowu, bez żadnych wyjaśnień, o co chodzi, z powrotem do cel, ale nie do tych samych co wcześniej.



4 września 1992 r., Plac J. Piłsudskiego w Warszawie po przekazaniu sztandaru Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie wojskom lotniczym w Kraju.

Tadeusz Ruman z rodziną z Polski, Wielkiej Brytanii i USA

### Śmierć czy wolność

Ja poszedłem do pojedynczej celi. Było tam już dwóch Moskali, chyba więźniów politycznych. Siedzieliśmy tam kilka dni. Słychać było już artylerię, bo przecież zbliżali się Niemcy. No więc ja mówię, że ten kolos, Stalin, już się wali. A oni na mnie naskoczyli we dwóch. Mówię im: „Wy chyba żartujecie, polityczni więźniowie?”, a oni: „Nie, bo tyś obraził naszego wodza”. Nic z tego nie mogłem zrozumieć. Za dwa czy trzy dni transport. Zawsze jak zabierali transporty albo wzywali na przesłuchania, to przychodził żołdak i pytał się: *Na bukwu B czy Na bukwu Ż*. Nie wymieniali nazwiska, tylko każdy, kto na tę literę miał nazwisko, musiał wyjść przed celę. A przesłuchania były cały czas, moja teczka była bardzo gruba. Na początku na stole leżały papierosy, zapatki, kazali się częstować. Zawsze zapalałem jednego, gasiłem i chowałem do kieszeni, potem drugiego. W ten sposób zawsze miałem jeden, dwa papierosy ekstra. Po mojej rozmowie o Stalinie przyszli i zabrali tych dwóch Moskali. Trzy dni później raniutko drzwi się otwierają i słyszę: *Na bukwu Ż*. Tylko ja byłem, Żak Kazimierz Piotrowicz. Słucham, czy otwierają inne drzwi – nie.

Podczas przesłuchania mówią mi, że tamci Moskale opowiedzieli, jak się wyraziłem o Stalinie. I teraz idę na „trojkę”. Kiedy klucznik prowadził, trzeba było iść dwa kroki przed nim, ręce mieć z tyłu i patrzeć na swoje stopy. Pytam go: *Grażdanin, towarzyszc, ja idu na trojku?* On mówi: *Ja nie znaju*. Ale odpowiedział grzecznie, nawet nie kopnął. Mówię więc dalej: „Powiedz mi, ja przecież mam tylko parę minut życia jeszcze”. – „Ja nie wiem”. Byłem święcie przekonany, że jeśli on na mnie nie krzyknął ani mnie nie kopnął, to idę na rozstrzelanie. Co czułem? Nic, kompletnie nie myślałem, mój mózg jakby był zupełnie wyłączony. A on wprowadza mnie do naczelnika. Ten grzeczny, jak zawsze, papierosy od razu. Patrzę przez okna, tam był malutki park, w którym wisiła bielizna. I on mówi: „Czy wiesz, że zawarliśmy z gen. Sikorskim i z panem Churchillem pakt? Będziemy walczyć ze wspólnym wrogiem”. Bierze moją teczkę i wielkimi literami pisze: *Oswoboźdiennyj*. Mówi: „Żak, za jeden, dwa dni będzie transport i pojedziesz do polskiego wojska”. A ja mu mówię – jaki byłem strasznie głupi, jakaś ambicja mi kazała to powiedzieć – że tam, w tej

tecze są same kłamstwa, że nawet nazwisko mam inne. Powiedziałem to z triumfem, bo jak nas zaaresztowali, to nam mówili, żeby zawsze mówić prawdę, bo NKWD to nie tak jak Scotland Yard, „my w NKWD wszystko wiemy”. On tak na mnie popatrzył, w jednej chwili zdałem sobie sprawę ze swojej głupoty, przecież u nich życie człowieka znaczy tyle co życie muchy. Ale on mówi: „Ja bym zostawił Żak; dopiero jak będziesz u swoich, zmienisz, bo mogą być komplikacje”.

### **Droga do armii**

Zabrali mnie od naczelnika. Idziemy taką spiralą, schodami metalowymi, ze dwa piętra pod ziemię. Otwiera się duża cela, tam były trzy osoby, sami Polacy, ja byłem czwarty. Paliło się światło, okien nie było. Koledzy mówią, że przeszli to samo. I tak przyprowadzali do nas Polaków do samego wieczora. Było tak ciasno, że staliśmy prawie na jednej nodze. Zamiast dać nam lepsze warunki na koniec, to dali nam najgorsze z możliwych. Potem wydano nam taki dokument, na marnym papierze z pieczętką NKWD. I z tymi papierami dojechaliśmy do Buzułuku koło Kujbyszewa. Tam były całe ministerstwa przeniesione z Moskwy do Kujbyszewa, bo Moskwa była otoczona.

W lesie koło Buzułuku zaczęła się organizować eskadra. Było chyba 12 namiotów. W namiocie było nas 12–16. Któregoś dnia wychodzę przed namiot, a tam wisi taki w łachmanach z kartką: „kapuś”. Bo byli tacy, którzy na przesłuchaniach mówili, co ten mówił w celi, co inny mówił. Gdy przychodził, widać było, że mu tam dali zjeść, więc zaraz można było poznać, że to kapuś. Takich często wołali. Ale oni przytłacili to życiem. Później, kiedy przyjechaliśmy do Anglii, mieliśmy spisać po nazwiskach, kto był kapusiem. Na przykład taki piłkarz z Cracovii był kapusiem. Widocznie go Moskale wykończyli, bo nie było go z nami.

Z Buzułuku nasz pierwszy transport pojechał na południe do Kermine, nad Morze Kaspijskie. I tam wybuchł tyfus. Kilka tysięcy Polaków zmarło. Pamiętam, jak kopali taką jamę, wrzucali dwadzieścia kilka zwłok, skóra i kości. Ksiądz mówił, że był wśród nich wojewoda lwowski. Zwłoki zasypywano wapnem i chowano następnych. Jeden mój kolega też miał tyfus, ale przeżył.

### **Raj**

Z Kermine wyruszyliśmy do Persji rosyjskim statkiem. Wsiadamy ze statku i nagle Rosjanie znikli jak kamfora. Pojawili się Anglicy w zielonych mundurach. Prowadzą nas może z pół kilometra do kina. A w kinie – na podłodze materace. Dla nas to było jak najlepszy hotel. Dają bochenek chleba na dwóch, jakiś ser. Mieliśmy wagę, prosiliśmy, żeby równo podzielić, a Anglik mówi, że nie ma problemu, że jak chcemy, to dostaniemy dwa bochenki. Dla nich taki bochenek był na kilka dni, a ja potrafiłem zjeść cały na śniadanie i za pół godziny drugi. Oczywiście, później przestaliśmy tak jeść. Następnego dnia mogliśmy wreszcie wziąć prysznic. Angielski żołnierz stał przed łaźnią, kazał wszystko zdjąć, wszystko spalili. I trzeba się było nasmarować jakimś płynem dezynfekcyjnym (ile milionów wszy zabiłem u Sowietów, to chciałbym mieć tyle groszy dzisiaj). Dali nam nowe mundury angielskie, ale nie lotnicze, tylko z piechoty. Czuliśmy się jak w niebie.

### **Diabeł na filmie**

W Pahlevi byliśmy tylko dwa dni i stamtąd już angielską ciężarówką – Pers, cywil, był szoferem – do Teheranu. Tam nas dali do niedokończonej fabryki, którą budowali Niemcy. Tam też spaliliśmy na podłodze, ale na materacach. Dostaliśmy po 14 tumanów (tuman to

perski pieniądź). Kupiliśmy owoce, poszliśmy do kina. I tam pokazali nam na filmie Stalina. I zaczęliśmy jabłkami rzucać, no bo nam Stalina pokazać, diabła takiego! Prosił nas dowódca, żeby nie zadrażniać, bo jest jeszcze tylu Polaków w Rosji... Ale to było odruchowe.

Później pojechaliśmy na południe, w najgorętsze chyba miejsce na świecie – Ahwaz w Persji. Mówili nam, żeby nie wychodzić bez czapki. Ja wychodziłem, dla mnie nie było za gorąco. Urodziłem się w Kołomyi na południu Polski, lubiłem ciepło. Po 10 dniach wyruszyliśmy do małego portu i z niego statkiem do Bombaju, do Indii. Byliśmy tam tydzień, potem przeszliśmy na wielki angielski statek pasażerski *Awatea* (który został później zatopiony) i popłynęliśmy nim do Kapsztadu w Afryce. Doptnęliśmy tam w sobotę. Ten transport był już dobrze wyselekcjonowany – prawie 300 osób, wszyscy do lotnictwa.

Kapsztad to piękny port, jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem w życiu. Mogliśmy trochę rozejrzeć się w mieście. W niedzielę mieliśmy wrócić na statek na godzinę drugą. Poszliśmy w kilka osób do kościoła. Jak zbliżała się umówiona godzina, to spacerowaliśmy już tylko koło statku. Potem zbiórka i punkt druga statek odpływa. 38 osób zostało. Obawialiśmy się, że czeka ich sąd polowy, a oni byli tam prawie 3 tygodnie, a potem przylecieli samolotem do Anglii. Z Kapsztadu płynęliśmy do Freetown w Afryce Środkowej, tam trzeba było węgiel uzupełnić na statek. To dziwne miejsce, podobno występują tam wszystkie choroby, jakie tylko są na świecie. Byliśmy tam dwa dni.

## Anglia

Z Freetown przybyliśmy do Liverpoolu w niedzielę, 6 czerwca 1942 r. Zburzony Liverpool wyglądał strasznie, port był zbombardowany. Specjalnym pociągami przewieziono nas do małego miasteczka w Szkocji. I znów fabryka, a w niej materace. Tam mieliśmy kilku oficerów, którzy mówili już po angielsku, bo przyjechali do Anglii z Francji w 1940 r. Najpierw musieliśmy przejść tydzień kwarantanny, nie wolno było wychodzić. Kiedy po kilku dniach okazało się, że nie wykryto żadnej choroby, wyszliśmy w sobotę na miasto i od razu poszliśmy na dansing. Była to dość dziwna zabawa, bo na jednego chłopaka przypadało 7 czy 8 kobiet. Jak któryś z nas tylko parę kroków zatańczył, to już podchodziła inna dziewczyna i odbijała. Zdarzyła się jedna, która nie pozwalała mi odbijać. Cały czas coś do mnie mówiła, a ja nic nie rozumiałem, znałem niemiecki, ale angielskiego w ogóle nie rozumiałem. A ona cały czas powtarza: *Parents, parents...* Wreszcie mówi: *Mother and father* – coś zacząłem rozumieć, bo to brzmiało podobnie jak po niemiecku. W końcu gestami zaczęła pokazywać, że rodzice pojechali na weekend. I poszliśmy do domu, później spotkałem ją jeszcze parę razy...

## Bombardowanie Niemiec

Po pewnym czasie pojechaliśmy do Blackpool, gdzie była baza polskiego lotnictwa, i stamtąd na kurs i do dywizjonu. Ponieważ miałem już wcześniej szkolenia, szybko znalazłem się w dywizjonie i zacząłem latać. Mój pierwszy lot był na Aachen, na bombardowanie Niemiec. Aachen jest blisko granicy niemieckiej z Holandią. Później byłem dwa czy trzy razy na Kolonii, trzy razy na Hamburgu w 1943 r. Co czułem podczas tych bombardowań? Bardzo się cieszyłem, bo pamiętałem, co Niemcy robili w Polsce. Czułem do nich większą niechęć niż do Sowietów, mimo że siedziałem przecież w sowieckim więzieniu (jeśli chodzi o Rosjan, to nienawidziłem enkawudzistów, ale pamiętałem zwykłych, dobrych ludzi). Bombardując niemieckie miasta, zawsze miałem przed oczami to, jak oni traktowali mój naród, jak trzeba było schodzić z chodnika, bo szedł Niemiec...

## Loty nad Polskę

Najpierw latałem na Wellingtonach, później na Halifaksach i w końcu na amerykańskich Liberatorach. Później poszedłem do dywizjonu do zadań specjalnych nr 301, w zasadzie do eskadry 1586 do zadań specjalnych. Zaopatrywaliśmy armie podziemne w różnych krajach. Nad Polską byłem 19 razy. Przed Powstaniem 11 razy robiliśmy zrzuty w lasach koło Lublina i w Puszczy Kampinoskiej. Raz Amerykanie przywieźli do nas jakiegoś dowódcę z armii podziemnej. Wylądował rano u nas i miał z nami pogadankę. Mówił: „Jak wy zrzucacie, to zaraz wszystko jest chowane w lesie. Niemcy zwykle o tym wiedzą, ale noc należy do nas. Kiedy rano przychodzą Niemcy, to wszystko jest już ukryte”.

Niekiedy zrzucaliśmy także ludzi. Pamiętam, kiedyś czekaliśmy na lot, stońce piecze, a tu chodzi chyba jakiś Anglik, oficer, w mundurze i w kombinezonie. My między sobą rozmawiamy po polsku, czy to nie jest jakiś szpieg. A on nagle się zwraca do nas i mówi: „I'm going with you. Ja lecę z wami”. Po polsku też umiał. I nam opowiada, że dzisiaj w nocy będzie, gdzieś w barze, rozmawiał z Niemcami. Po niemiecku mówił doskonale. Ludzi zrzucaliśmy przeważnie do Polski, do Grecji. Rozmawialiśmy z nimi w samolocie. To byli doskonale wyszkoleni wywiadowcy, mówili świetnie po niemiecku, mieli dolary i złoto. W kombinezonie mieli zwykle małą kieszonkę z arsenikiem. W razie wpadki nie czekali, aż będą torturowani. Woleli śmierć, bez możliwości wydania jakiegokolwiek tajemnicy. Nigdy później ich nie spotkałem, ale wiem, że niektórzy przeżyli.

Później brałem udział w każdej kolejce lotów nad walczącą Warszawę – latałem 8 razy. W naszej eskadrze było 12 załóg. Jak któraś załoga zginęła, to z Anglii przylatywały uzupełnienia, żeby wyrównać skład. Bardzo się cieszyłem, kiedy mogłem pierwszy raz polecieć do Polski. To były długie loty, najdłużej trwały te z Brindisi nad Warszawę – ponad 10 godzin. Czy 10 godzin to było męczące? Nie. Teraz męczy mnie dwugodzinny lot z Manchesteru do Warszawy, ale wtedy człowiek nie myślał o zmęczeniu.

## O północy nad Warszawą

Mój pierwszy lot nad powstańczą Warszawę wypadł 4 sierpnia 1944 r. Leciłem wtedy Halifaksem. Lataliśmy nocą. Startowaliśmy około 7 wieczorem z Brindisi we Włoszech, lecieliśmy przez Jugosławię i Węgry i docieraliśmy nad Warszawę około północy. Wracaliśmy nad ranem. Pierwszy lot był bardzo spokojny, Niemcy chyba się nas nie spodziewali. Później z każdym lotem było gorzej. Kiedy pierwszy raz nadlecieliśmy nad Warszawę, to było niesamowite uczucie – wiedzieliśmy, że tam są nasi koledzy, którzy odbierają zrzut. W dole widać było krzyż utworzony z lamp naftowych. Robiliśmy wszystko, żeby dokładnie trafić w to miejsce. Przed każdym lotem była odprawa, na której dowiadywaliśmy się, gdzie ma być zrzut, gdzie będzie stał krzyż ze światła. Lataliśmy nad samymi dachami domów, bo krzyże nie miały więcej niż 10 metrów. Staraliśmy się być o umówionej wcześniej porze. Zawsze na nas czekali. Londyn dostawał informacje o odbiorze.

Zrzucaliśmy naszym broń i amunicję. Nie wiem nawet, jaki był jej rodzaj, bo była zapakowana w kontenery. W innych krajach zrzucaliśmy także żywność i papierosy, a powstańcom tylko broń. Na przykład do Jugosławii, gdzie było dwóch dowódców: Tito – komunista, co na nas działało jak płachta na byka, i na północy generał Mihailović, tam to nawet były zrzucane worki z papierosami. Czasami zostawialiśmy taki worek papierosów i później do Polski zrzucaliśmy razem z bronią. Nieoficjalnie, ale tak robiliśmy. Ładunku zawsze było bardzo dużo. Pod spodem samolotu, tam, gdzie zwykle były bomby, umieszczano kontenery ze zrzutem.

Nasza załoga była całkowicie polska. Anglicy latali też w swoich załogach, ale potem Churchill zabronił im latać z powodu zbyt wysokich strat. Uznał, że są to loty samobójcze.



# THE POLISH WAR HERO WHO BECAME A BRIT ON WHY WE MUST EMBRACE THE NEW EUROPE

By BARRY AMBROS

**T**ADEUSZ Ruman is British. He has been British for longer than he has been a Pole. And, on Saturday, when Poland is welcomed into the European fold, he will embrace his native land with his adopted one.

That is if you live in the Aston-Downington house in Blythwood, the English in Hampshire, built with Eastern European masonry. During his career, he was a successful and wealthy man.

Three houses were built. The last built around for the business shortly after the outbreak of the Second World War, employed by 25 years' hard labour and then, when World War II ended, sold to British buyers to go with the Great Air Force against Hitler's Luftwaffe.

Madam Ambros was arrested by the Gestapo, sentenced to death, aged 17, sent to the prison for girls and then, when all women were released, to the British Army, where she met her future husband, Ted.

They were married in Britain, Ted was sent to the front in Italy and Ted was a war hero.

My father began to work as a car salesman although he was far better equipped as a mechanical engineer. He worked for the car company, but he was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

I would not have the same name. I would not have the same name. I would not have the same name.

A letter of recognition paper could not be given to my father. It was a letter of recognition paper.

Thought an act of war. Ted was a war hero. He was a war hero.

**D**OWING Street had worked overtime, inviting the latest Poles, Bulgarians, Czechs and Slovaks, Greeks, Hungarians, Lithuanians, etc.

And Ted, in the middle of it all, was Ted. Ted was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

Some people come to Britain asking 'Where's the free bank?' But the majority come to work, to give and to get. This country is special.. and Europe, properly held together, is special too



HEBO: Ted's dad

breakdown and crash landing in a forest. "I found the ground," he said. "I was a war hero. He was a war hero."

Warrior Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.



TRUE BRIT: Ted's Distinguished Flying Medal from the RAF

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

And Ted was a war hero. He was a war hero. He was a war hero.

My lataliśmy jednak dalej. Spotkałem tylko jednego lotnika angielskiego, który odbył trzy loty nad Warszawę, reszta jeden–dwa loty. Po wojnie my, którzy lataliśmy nad Powstaniem, założyliśmy Warsaw 44 Club, zrzeszający polskich i angielskich lotników.

### **Duże straty**

Pierwszy lot był bardzo spokojny, ale później Warszawa już płonąła. Nie trzeba było nawet nawigować samolotu. Nadlatywaliśmy nad Wisłą i z daleka widać było łunę nad miastem. Wywiad dostarczał nam nowe, coraz smutniejsze wiadomości o Powstaniu od „Bora” Komorowskiego.

Nasza eskadra do zadań specjalnych liczyła sześć maszyn. Trudne było to, że ciągle zmieniał się skład osobowy. Nie mieliśmy żadnej osłony myśliwskiej, dlatego nad Warszawę ponosiliśmy największe straty – ponad 200 proc. stanu eskadry. Jeszcze dziś często ktoś mnie pyta: „Tadek, ty byłeś w tej specjalnej eskadrze, znałeś takiego a takiego? On zginął”. A nasza rzeczywistość była taka – przylatywała załoga, na drugi, trzeci dzień poleciała i... często ginęła. Nie było czasu się poznać. I na pewno niektórych kolegów nawet nie pamiętam.

Moje loty na Warszawę odbywały się w dniach 4, 7, 9, 13, 15, 21, 24 i 27 sierpnia. Nad samą Warszawą byliśmy zwykle nie dłużej niż 1–2 minuty. Zginęło 11–12 polskich samolotów. Do zadań specjalnych brano tylko doświadczonych lotników. 15 sierpnia zginął mój kolega Zbigniew Szostak, który, nim wyleciał mówił mi, że ma przeczucia, iż to jego ostatni lot.

Nie myśleliśmy wtedy o stratach eskadry, najbardziej ściszało nas w gardle, gdy widzieliśmy płonąca Warszawę, gdy widzieliśmy, że tam giną nasi bracia. Po lotach zawsze na drugi dzień słuchaliśmy radia. Denerwowało nas, że Moskale, którzy w każdej chwili mogli przyjść z pomocą, zatrzymali się i nie oddali strzału. To moim zdaniem była największa zdrada II wojny światowej.

### **Na dwóch silnikach**

Najbardziej dramatyczny był nasz ostatni lot. Dotarliśmy do Polski na dwóch silnikach. Wtedy staciliśmy cztery nasze maszyny. Ten ostatni raz leciałem Liberatorem. Strasznie ostrzeliwali nas Niemcy na Mokotowie. Było ciemno, nie mieliśmy nawet szans skakać na spadochronach, bo byliśmy za nisko. Zdecydowaliśmy, że lecimy na południe nabrać wysokości i wtedy wyskoczymy. Nie mogliśmy lądować, ale z czasem te dwa silniki się ustabilizowały. Jeszcze pod Krakowem cofający się mały oddział niemiecki nas zaatakował. Seria z karabinu maszynowego przeszła po całym samolocie, ale przelecieliśmy jeszcze przez góry i chcieliśmy skakać w Jugosławii. Będąc coraz bliżej bazy, postanowiliśmy, że próbujemy wrócić do Brindisi. Wskaźniki pokazywały nam, że hamulce działają. Naprawdę jednak wszystko było poprzestrelane, hamulców nie było.

Gdy wylądowaliśmy, mechanicy sprawdzili, że paliwa mieliśmy jeszcze na 5 minut. Sprawdzono nam też spadochrony. Okazało się, że były podziurawione, przestrelone. Gdybyśmy na nich wyskoczyli, to byśmy zginęli, bo malutka dziurka może rozerwać czaszę spadochronu. To był cud, że wróciliśmy. Kiedy wyszedłem z samolotu, ucałowałem ziemię i dziękowałem Bogu za ocalenie życia. Zawsze mam ze sobą zwykły aluminiowy Cudowny Medalik z Matką Bożą. Wykonałem 71 lotów operacyjnych z Anglii i z Włoch i ten medalik zawsze był ze mną. Nie oddałbym go za miliony funtów.

Dokładnie 59 lat po naszym ostatnim locie nad Powstanie, gdy najbardziej dostaliśmy w skórę – 27 sierpnia 2003 r. – odsłonięto pomnik Poległych Polskich Lotników na Mokotowie.

Oprac. Jarosław Wróblewski i Jan M. Ruman